Cena egz. 50 gr. JEDNODNIÓWKA.



gazetka gdudu III. „Agudat Hanoar“

Rok I. Kraków, grudzień 1928 — Tebet 5689. Nr. 3.

Redaktor odpowiedzialny i nakładca: Juda Ohrenstein.
Adres redakcji i administrącji: Kraków Stradom 15. — Telefon 4541.

Chanuka.

חכמינו ז"ל אמרו — Mędrcy nasi, oby błogosławioną była pamięć ich, opowiadają, że w miesiącu kislew zdarzył się wielki, wspaniały cud. Oto garstka prostych, bez znaczenia ludzi pokonała stokroć liczniejszego wroga i przywróciła dawną świetność narodu. Garstka, ale obdarzona żelazną wolą, przepojona wiarą w słuszność swych zamierzeń, płonąca chęcią poświęcenia swych sił i życia na ołtarzu ideału, odniosła zwycięstwo i zawsze je odniesie nad tłumem niewolników, pędzonych do boju batami.

Zerwała się ta garść w sam czas do czynu. Stan ówczesny narodu żydowskiego był krytyczny. Do miast wdarła się kultura grecka. Mieszczanie, a nawet kapłani przyjmują jej gorszą stronę: żądzę użycia i rozkoszy. Powstają cyrki i gimnazja, ludność coraz głębiej grzęźnie w bagnie asymilacji. Doszło do tego, że nawet najświętszy skarb narodu — świątynia nie uchroniła się od zbezczeszczenia. Pewnego dnia na rozkaz króla syryjskiego został postawiony na ołtarzu posąg Zeusa. Miara upodlenia przebrała się. Wprawdzie w mieście tchórzostwo zamknęło usta protestującym, lecz wieś, nieprzeżarta do cna jadem asymilacji, podniosła bunt. Matatjasz i jego najbliżsi rzucili hasło: „Za wiarę i wolność“ i pod tem hasłem ruszył w bój hufiec ludzi pragnących do ostatniej kropli krwi walczyć za naród i — zwyciężył, bo zwyciężyć musiał.

A oto drugi cud. Gdy Makabeusze wkroczyli po szczęśliwem zdobyciu Jerozolimy do przybytku świętego, zdawało im się, że wszystko zostało zbezczeszczone, odarte z świętości, że nie ostała się ani kropla czystej oliwy. Wprawdzie zastali smutny stan, ale nie beznadziejny. Przecież znalazł się wśród

ruin świętości malutki dzbanuszek czystej oliwy, resztka dawnej świetności. I zapalono radośnie światła tijumfu i radości. I płonęły one jasno przez kilkaset najbliższych lat. Nadszedł także czas ósmego dnia chanuki, gdy wszystkie one razem świeciły i jasno i radośnie było u nas i wkoło nas. Lecz niedługo trwał ów czas. Świeczki chanukowe zaczęły przygasać, aż zgasły wscystkie. Nadszedł rok 70, zapadła długa i ciemna noc golusu.

Wędrował Żyd szczuty i bity z kraju do kraju, z ghetta do ghetta, ale o świeczkach chanukowych nie zapomniał. I gdy w noc chanukową znalazł się w swej mrocznej i ciasnej izbie, wtedy wyprostowywał swój zgięty grzbiet, zanucił wolną pieśń hebrajską i wsłuchiwał się w szept świeczek malutkich, które opowiadały mu, że i on niegdyś królem był i świetlaną i zwycięską przeszłość miał. Wówczas umysł jego snuł marzenia, jakto kiedyś zlituje się wreszcie Bóg i ześle Wyzwoliciela — Mesjasza, który przywróci znów epokę wolności i tijumfu.

A oto zamiast Mesjasza, wdziera się przez zwalone mury ghetta — asymilacja. Młodzieży żydowskiej obcemi stają się święta. Przekłada bal karnawałowy lub bogate Drzewko Chrystusowe nad ubożuchne świeczki chanukowe.

Nadchodzi jednak przebudzenie. Z jednej strony rozlega się w ulicy żydowskiej coraz częściej okrzyk: „Precz z Żydami", a z drugiej strony rozchodzi się gromkie hasło Herzla, który jak drugi Matatjasz zwołuje naród pod sztandar, na którym wyszyte hasło: „Za Naród i Wolność". Gromadzi się dokoła niego najpierw tylko garstka, garstka zapaleńców, którzy pragną gorąco przeżyć jeszcze raz epokę Hasmonejczyków. Nadchodzi czas ziszczenia ich marzeń. Wyruszają do Erec i tam wśród znoju i zmagań bohaterskich budują dom zaciszny, w którym naród mógłby wreszcie swą skołataną głowę złożyć. A liczba zapaleńców rośnie i wzmaga się. Już tłum gęsty otacza zwartym szeregiem biało-niebieski sztandar. Daleko nam jednak jeszcze do porwania za sobą całego narodu żydowskiego. Bierna, nieufna masa tylko powoli, aż za powoli, się budzi.

Ale przyglądnijmy się obchodowi Chanuki w Nowej Palestynie. W żydowskiem mieście Tel Awiwie gromadzą się tłumy młodzieży ze swoimi sztandarami, z pieśnią hebrajską na ustach. Wyrusza ogromny, wspaniały pochód תהליכת הנרות przez ulice tel-awiwskie. Tysiące młodzieży, uczniowie, skauci, robotnicy przeciągają z wolnym, niekrępowanym śpiewem na ustach

wśród tłumu starszego społeczeństwa, zalegającego zwartą masą chodniki, place, okna i balkony. Wszystko się cieszy, wszystko dyszy radością na widok tego młodego pokolenia, kroczącego dumnie i trjumfalnie po ziemi palestyńskiej, po ich ziemi. Zapomina się na chwilę o troskach codziennych, o ciężkiej walce o byt, a mózg wypełnia tylko jedna myśl: warto przejść te ciężkie kryzysy, warto stoczyć walkę o czarny kawałek chleba, by taką chwilę przeżyć.

A z ratusza tel-awiwskiego rzuca snopy światła elektrycznego wspaniała menora. Świeci płomienny symbol, który zwiastuje całemu światu, że Ojczyzna nasza odbudowuje się, że nadszedł czas אתחלתא דגאולה — pierwocin Wyzwolenia.

Jeszcze ciemno w ulicy żydowskiej, jeszcze ciężko w Erec, jeszcze nie wszyscy są z nami i krwawo walczymy o każdą piędź ziemi. Bo dziś dopiero mamy pierwszy dzień Chanuki. Płonie tylko gdzieniegdzie małe drżące światełko, które niezdolne jest przerwać ciemności 2000-letnich. Ale nadejdzie drugi i trzeci dzień chanuki i mrok przed światłem ustępować zacznie. A wreszcie nadejdzie ósmy dzień, w którym wszystkie światła zapłoną i jasno i radośnie będzie w ulicy żydowskiej. Wybije godzina Wyzwolin. Zależy to od tej garstki zapaleńców, która, gdy wzmoże się, porwie za sobą cały bierny tłum. Taką garstką była zawsze i jest Młodzież A Młodzież — to my.

Dow.

Wieczorek chanukowy.

Wspomniano kiedyś o Chanuce. Słowo wzbudziło w mej duszy wspomnienie czegoś drogiego, co raz bardzo silne wrażenie wywarło i pozostawiło w niej głęboko wyryty ślad.

Było to zeszłego roku. W lokalu panowała uroczysta cisza. Na twarzach wszystkich widniało zamyślenie i wzruszenie, a w każdej duszy było jasno. Cóż to jest? To nasz gdud, gdud trzeci, urządza uroczysty wieczór chanukowy. Na oknie stoi w rzędzie ośm świeczek kolorowych, które przywodzą nam na pamięć dzieje owego czasu, owej epoki, kiedy zwarci, jeden obok drugiego walczyli Synowie Izraela z poświęceniem w obronie wiary naszej świętej. Prowadzący naszego gdudu opowiada nam w pięknych, wzruszających słowach o znaczeniu Chanuki, a my wszyscy słuchamy w wielkiem skupieniu i uroczystem napięciu. Każdy z nas przenosi się myślą i uczuciem

w te lata, kiedy żyli ci wielcy bohaterowie, którzy poświęcili życie za wiarę i wolność ojczyzny.

Po pogadance bawiliśmy się, ale w zabawie nie było owej wesołości i ruchliwej swobody, która zawsze wśród nas gości. Czuć było jakiś nastrój poważny i uroczysty, bo to dzisiaj święto narodowo-żydwskie, które wszyscy Żydzi ze zrozumieniem obchodzić winni, a zwłaszcza my — sjoniści.

Wśród śpiewu rozeszliśmy się, przyrzekając w duchu, że nie spoczniemy, póki nie pojedziemy do Erec Izrael, a tu tymczasem przyczynimy się do podniesienia ducha narodowego wśród Żydów. Wieczór ten wrył się głęboko w mą pamięć.

Chana.

Z kolonji.

Było to pod wieczór. Nasz pluton poszedł z Julkiem na gry i zabawy. Ja też poszedłem. Po drodze zaczęło się rozmawiać, nogi sobie podkładać, śmiać się. Ja się też śmiałem. Wyrzucono mnie z szeregu.

Siadłem więc sobie na trawie i patrzałem za odchodzącym plutonem. Było mi przykro. Gdy znikli mi z oczu, zastanowiłem się co zrobić. Wracać nie miałem ochoty, bo nie chciałem się narażać na różne zapytania w rodzaju: „Czemuś nie poszedł z Julkiem?", „Co tu robisz?" i t. d.

Nie mogąc sobie nijak poradzić, mimowoli podniosłem się, wziąłem trawkę do ust i poszedłem naprzód. Wtem zobaczyłem poziomkę, wyglądającą z trawy swoim czerwonym łebkiem. Ot, znalazłem zajęcie. Przykląkłem w trawie i zacząłem szukać, ale, że niedużo ich tam było, więc mi się szukanie prędko sprzykrzyło i ruszyłem dalej; w pewnem miejscu przystanąłem. Dokoła nie było żywej duszy. Nic nie zakłócało ciszy. Ja stałem na miedzy między dwoma polami zarosłemi wysokiem zbożem.

Położyłem się i widziałem tylko najbliżej rosnące źdźbła żyta, a nademną lazurowe niebo, zaprószone drobnemi obłoczkami. Słońce zbliżało się powoli ku zachodowi i po długim czasie schowało się za najbliższem polem. Ja widziałem tylko zboże, niebo po jednej stronie zaczerwione i obłoczki żółto-amarantowe. Ale niebo to było tak piękne, że zastępowało cudowne krajobrazy górskie przecinane szafirowemi wstęgami rzek i ciemno-seledynowemi połaciami leśnemi, tak często spotykanemi.

Widok był prześliczny, chciało mi się śpiewać, gwizdać lub w jakikolwiekbądź inny sposób wyrazić swój zachwyt, ale wzruszony nie mogłem ust otworzyć. Tak przeszło może pięć minut, długich jak pięć wieków.

Słońce zaszło, stało się całkiem ciemno. Dookoła nie było żywej duszy. Wokoło mnie rozłożyła się jakaś ciemna, gęsta masa. Było to pole. Nademną niebo ciemne, kilka gwiazd błysnęło między jeszcze ciemniejszymi obłoczkami. Stało mi się bardzo smutno. Zabrałem się stamtąd czemprędzej. Znienawidziłem to miejsce, nie wiem dlaczego. Więcej tam nigdy nie byłem. Zapytany potem, com robił, jak mnie Julek wyrzucił z szeregu, nie odpowiadałem wcale, lub bujałem w najróżnorodniejszy sposób.

„Szowaw“.

Co?!

Kolonja. Noc. Budzę się.

Leżę na sienniku. Zimno, ciemno, cicho.

Obok mnie leży Henek, Dudek, Olek.

Spokojnie klękam na sienniku, patrzę na Henka. Nie rozpoznaję go.

Zimno, ciemno, cicho.

Dotykam go małym palcem. Czuję nos, policzki, usta.

Henek ruszył się, ziewnął, odwrócił się: Śpi dalej.

Boję się.

Zimno, ciemno, cicho.

Przeraźliwy, przeciągły głos syreny kolejowej przerywa ciszę. Staje mi się tęskno; tak tęskno.

Zimno, ciemno, cisza.

Henek, Dudek, Olek. Cobym zrobił, gdyby mi się przyszło rozstać z wami.

Co?! — — — — — — — — — — — —

Szowaw.

Po kolonji.

Siedzę w lesie. Wokoło szumią drzewa. Łagodnie porusza wiatr gałęziami i bawi się liśćmi. Chrząszcze brzęczą mi nad głową, tu i tam wznosi się motyl, przylatuje do kwiatka, całuje go — i dalej w świat. Delikatnej zasłonie podobna cisza otacza mnie i słodko i miłośnie tuli się do

mego ciała. Każda trawka, każdy owad, każde drzewo śpiewa swą własną pieśń, która zlewa się w wspaniałą harmonję — w pieśń lasu, w hymn dojrzewającego życia.

* *
*

Gwizd syreny. Masami połyka fabryka szare tłumy robotników. W takt poruszają się żelazne cielska: raz — dwa — trzy, raz — dwa — trzy, pracować, pra—co—wać!! Wypluwają ze swego wnętrza gazy trujące. „Co pragną z tem uczynić? Co? Ludzi wymordować? Nie do wiary!“ Maszyny pracują na zgubę tych, którzy je zmontowali!

Cipora, Bielsko.

Pieśń chaluca.

Noc ciemna, cicha, w której moc niezgłębionych, niezliczonych tajemnic spoczywa — otoczyła miasto. Szaro-błękitne sklepienie niebios, jak głęboka toń wody, roztaczało się dookoła. Krocie miljonów gwiazd, niczem brylantami zasiane pole, świeciły jasno, mrugając do siebie wesoło i jedna drugiej jakby powtarzała: „O! Erec Israel!“ A słowa te płynęły dźwięczną melodją poprzez przestworza, z ziemi aż hen pod niebios błękity; płynęły one z duszy chaluca.

Przy oknie siedzi chłopiec 19-letni może, o ciemnej, ogorzałej twarzy, mądrem, wysokiem czole, z czarnemi oczyma o stalowem, stanowczem spojrzeniu, usta lekko rozchylone, wciąż szeptające. Postacią wysoki, barczysty, silnie zbudowany — imponująco wyglądał. Zdawałoby się, że jest jedną z tych postaci, która sobą mury przebija.

Zapatrzony w dal, zdawał się marzyć. Błysk oczu stalowych znikał powoli, powoli, a jakieś miękkie rozrzewnienie dostało się pod powieki. Nozdrza się poruszały, to zlekka się podnosiły, to znów opadały, a rozchylone wargi szeptały: „O! Erec Israel!“ A lekki wietrzyk chciwie chwytał te słowa, zanosił daleko i wszystko dookoła, niby tony muzyczne podchwytywało: „O! Erec Israel!“ Tęsknota rozpierała serce i duszę chaluca, który stał oparty o framugę okna i z utęsknieniem spoglądał ku wschodowi. A stęsknione serce i dusza jego wciąż jedną i tę samą piosenkę śpiewały, czując w niej najwyższe piękno i treść swego życia. O! Erec Israel!

Kol—Ru.

Na kwiszu.

(tłum. z Bystryckiego: „Jamim we'lejlot").

Rankiem tonie kamieniołom w cieniu, tak dobrze. Dobrym też jest szept poranny, płynący zdala. Po godzinie zjawia się w górze Julek magazynier w błyszczącej chuście, jadący na „Filozofie" obładowanym prowiantami, a oczy jego brylantowe uśmiechają się ze wzgórza do gromady rozsianej po kwiszu, w kamieniołomie, w gaju migdałowym. Wszystko to wlewa odrobinę pewności siebie. Oko mierzy zarozumiale owe gładkie głazy wrosłe w mokrą ziemię, twarz udaje dziarską minę kamieniarza z dziada, pradziada; wszystkie mięśnie napinają się, jakby ktoś stał z boku i mierzył spojrzeniem jakość pracy. Dłoń chwyta dłuto, omal że z mocą.

Wybierają dorodny kamień w milczeniu, rzekłbyś, przybyli tu tylko dla tego kamienia. Uri wkłada dłuto w szparę, zamienia się cały w oczekiwanie. Moszeh wznosi młot, a szkła okularów rzucają cień, dwom zagadkom podobne; z każdem wzniesieniem młota pierś jego wyrzuca z siebie jakieś nieodgadnione słowo, jakby w nim gnieździł się ponury ptak błotny.

Ale tymczasem oddala się już Julek, a ogon „Filozofa" przesyła ostatnie „szalom" z góry. Także cień znika z głów pracujących. Jeszcze nie skończyła się pora deszczów, a Pesach dopiero się zbliża, chamsuny jednak przylatują prawie co tygodnia. Słońce rozpalone śmiechem białym, martwym; śmiech ten uderza o ziemię, rozbija się na tysiące drgań błyszczących, twardych. Nie wiedzieć skąd się wzięły koszmary tańczące wkoło. Czy spadają one z góry z każdym okruchem śmiechu słońca, czy wyłażą z dołu, ze szpar głazów? Uri dotyka co chwilę owych sześć papierosów, które zostawił mu litościwy Julek; potrzebne są one Uriemu jak sześć białych żerdzi w drodze przez pustynię. Moszemu nie konieczne są postoje. Stąpał będzie po drodze pustynnej, wprost na kraniec horyzontu błyszczący zdala bielą rozpaczną — —

Pracuj, pracuj, pracuj!

Uri wyprostowuje się, teraz wyczuwa swą karlą postać. Zalman Ber, brat jego, wysoki jest jak ich ojciec, a on, Uri, niski jak matka... Którażby to była godzina?

Arab przejeżdża na ośle. Zęby odsłonięte śmieją się do słońca, z rodzajem jakiegoś zbliżenia do tegoż słońca. 32 zęby silne, jak 32 ostre noże! Uri patrzy na te zęby nagie wzrokiem wytężonym, jak ptak w paszczę dzikiego zwieża.

Wtedy rozmyśla Uri głośno w stronę szkieł Moszego.

—Czyż nie sądzisz... hm... nie sądzisz, że... że człowiek śmiejący się tak... patrz no na jego zęby, patrz, patrz... że on zdolen jest zabić swego towarzysza dla własnej przyjemności... dla własnej rozkoszy, między jednym papierosem a drugim... a może nawet bez noża... bez noża, tylko zębami i pazurami...

Powiedział i zląkł się swych myśli. Napewno, napewno tak wyglądał Arab, którego nóż zadał cios śmiertelny Arjemu.

...Sześciu ich wówczas było, Arjeh i jego przyjaciele. Sześciu osiadło na wzgórzu. Wydzierżawili od organizacji „Nachlat Jeszurun“ młody ogród i osiedlili się w obejściu fermy „Ejn Kinereth“ na wzgórzu. Postarał się też Arjeh, że oddano w ich ręce budowę kwiszu, który miał biedz wzdłuż brzegu Kinereth.

Raz wracał Arjeh do domu z odwiedzin jednej z pobliskich kwuc. Szedł Arjeh górami. Na stoku od strony gór Kanaim, znaleźli go martwego z nożem tkwiącym w plecach. Uri widział fotografję zdjętą przez Fredka. Teraz, gdy Arab przejeżdża mimo niego, Uri widzi każdy szczegół, jak na dłoni. Arjeh stąpał powoli, zatopiony w myślach, spuściwszy głowę; czasami spadał kamień potrącony nogą i przerywał ciszę. Wszystkie troski młodej kwucy, setki małych trosk spoczywały na barkach byłego studenta filozofji, na barkach młodzieńca o twarzy podłużnej i bujnej czuprynie, której włosy były tak jasne i proste, że zdawało się, że i jego myśli muszą być tak proste i jasne i jednorękim był, bo zaciągnął się 19-letni chłopiec na ochotnika w czasie wojny i stracił lewą rękę. Była południowa pora, a Arjeh był bardzo głodny, do domu tak blisko, a dobra Adel już przygotowała swoją wieczną, wspaniałą jajecznicę. Arjeh zadarł białą głowę w tył, otarł jedyną ręką pot z czoła i uśmiechnął się na wspomnienie owej wiecznej, wspaniałej jajecznicy. Arab przejeżdżał mimo i pokazał

zęby śmiejąc się. Może pomyślał wówczas Arjeh w roztargnieniu: Jak niesamowitym jest ten uśmiech zębów i — szedł dalej. Arab śmiał się tak sobie, bez żadnej myśli, może też mruczał swą melodję bez końca. Nagle dotknął swej piersi pod spoconym kaftanem. Cisza panowała wokoło, cisza pełna drgań słonecznych, wlewająca jakąś lekką, ckliwą żądzę w rozpalone ciało Zapewne nowa torba Arjego pociągnęła ku sobie wzrok Araba, torba z czarnej, błyszczącej skóry; zapewne owa długa, jasna czupryna i niebieskie okulary wzbudziły w nim niezrozumiałe drżenie; zęby Araba odsłoniły się jeszcze więcej, aż do dziąseł ranie krwawiącej podobnych...

Uri chwyta z mocą za dłuto. Pracuj, pracuj!

Oto dzwon woła na spoczynek południowy. Jak przykro odłożyć dłuto; zdaje się, że teraz, właśnie teraz, gdyby dano jeszcze dziesięć minut pracować, ziściłby się ów wielki cud, na który dusza czeka całe życie. Ale Moszeh kładzie młot na plecy — dość!

A gdy wdrapywał się Uri na górę za Moszem, przypomniał sobie, że to dziś rok minął od dnia śmierci Arjego.

Moszeh wychodzi z trudem, jakby wyciągany niewidzialnym sznurem, zarzuconym mu na szyję, a za nim wlecze się Uri. A za Urim Lejbuś, Jicchak, Jeszajahu. I oto stąd i stamtąd, z szerokiej równiny, z pardesu i z kwiszu wychodzą z wysiłkiem chłopcy i dziewczęta, obładowani narzędziami pracy, oczy ich wbite w kamienie drogowe, jakby szukali jakiegoś łańcucha, który się rozpadł na ogniwa, a głowy ich wysunięte wprzód, rzekłbyś, ktoś ciągnie ich niewidzialnym powrozem w górę — na szczyt wzgórza.

Po roku pobytu w organizacji.

Gdy tak siedzę wieczorem sama, przypominają mi się dawne czasy. Przechodzę swe życie od zaginionych w otchłani dni dzieciństwa, aż do ostatnich czasów.

I przypominam sobie moje pierwsze dni pobytu w organizacji. Każdy wieczór spędzony w lokalu dawał mi tyle radości. Zdawało mi się, że naprawdę dostałam się w jakiś inny świat, szczery, piękny.

Minęły te radosne miesiące. Zaczęłam głębiej patrzeć

i lepiej obserwować. Bliższa obserwacja w wyniku zostawiła mi dość pokaźną sumę rozczarowań. Myślałam jednak: „To nic! Przyjdzie kolonja, będzie lepiej".

Ostatni dzień w Krakowie, spędzony na gorączkowem przygotowaniu do wyjazdu. I hej! jazda! Cudowna noc, pełna wesołości, śmiechu i śpiewów. W tę noc jechaliśmy naprawdę pełni zapału i wiary.

Wreszcie przyjechaliśmy na kolonję. Pierwsze dni minęły w rozpaczliwej nudzie. Wyrwani z innego życia nie mogliśmy się tu tak .atwo dostosować, tembardziej, że każby sobie życie kolonijne inaczej wyobrażał. Każdy myślał, że będzie się śpiewało, „grandy" robiło; że będzie ruch, życie.

Przeszła kolonja. Przyjechaliśmy do Krakowa. Tu nas czekał Wicek z „raporcikiem", z pogadanką o skautingu i z wycieczką bez skautingu. Przyjechała „instruktorka". Śpiewano trochę, tańczono, pozatem nic więcej.

Nieraz gdy mówię, że kolonja nie była „klawa", oburzają się na mnie i mówią: „przecież to i to było „klawe". Niepotrzebnie! Ja sama wiem, że grać w piłkę było dobrze i w namiocie było „fajnie". Ale pozatem. Czyż zostawiła kolonja jakieś głębsze wrażenie? Czy czujemy się bliżsi sobie teraz? Przeciwnie. Na gdudzie panuje jakiś stan apatyczny, z którego się powoli otrząsa.

Chciałabym coś teraz powiedzieć o naszych wadach. Otóż u wielu ludzi zauważyłam trochę zarozumiałości. Wielu ludzi sobie myśli: „Nasz gdud jest najlepszy, jest doskonały, niema drugiego takiego". Co za tem idzie, zaczyna się krytykować wszystko i wszystkich. Przecież, gdy się jest najlepszym, to można. Inni znów myślą: „I tak mówią że nasz gdud jest najlepszy, to poco ja będę przychodził, żył z nimi i pracował".

I jeszcze jedna rzecz, którą trzeba jak najostrzej zwalczać. To ta powierzchowność i płytkość sądów. Niewielu wprawdzie ludzi na nią cierpi, ale to jest rzecz bardzo zaraźliwa (wiem to z własnego doświadczenia). Cóż bowiem łatwiejszego, jak stanąwszy w kącie krytykować: „Ten jest „klawy", zostanie w organizacji, bo jest skromniej ubrany, a tamten modniej ubrany, to już nie jest człowiekiem".

Sądzę, że będąc w lokalu można coś innego robić,

a nie obmawiać ludzi. Dzięki Bogu, żem się pozbyła tego, tak nieprzyjemnego zwyczaju. Pragnęłabym, aby i inni (w II-gim gdudzie też) tego się pozbyli. Zamiast krytykować innych, pracować nad sobą. Nawet jeśli się uważa na podstawie konkretnej, że ten człowiek nie jest takim, jakim być powinien, lepiej nie bębnić o tem, tylko myśleć nad samoudoskonaleniem.

Jehudit.

Wycieczka.

Zrealizowały się wreszcie nasze marzenia. Nadszedł dzień, w którym miałyśmy żyć wspólnem życiem, tak odmiennem od szarzyzny dnia powszedniego. Wieczorem już czyniono przgotowania do rannej wycieczki. Noc dziwnie długą była. Powieki nam się nie kleiły, myśli ulatywały hen w dal.

A kiedy mroki nocy rozwiały się, wyruszyłyśmy z miasta. Słońce, jakby podzielając naszą radość, wykradło się zza chmur, ukazjąc nam swe rozjaśnione oblicze. Swawolny wietrzyk muskał nam twarze, szepcząc o zbliżającej się jesieni. Po dwugodzinnym marszu przybyłyśmy do celu. Obóz nasz był rozłożony w dolinie, zarosłej gęsto drzewami i otoczonej rzeką, rzekłbyś, na odludnej wysepce jesteśmy.

Krajobraz był cudowny, trudno go opisać. Dzień przeleciał nam jak chwila, pozostawiając jednak po sobie dużo miłych wspomnień.

Zbliżał się wieczór. Wyszłyśmy z lasu, wtem słyszymy śpiew ludzi siedzących przy ognisku. Udałyśmy się tam, odpowiadając również śpiewem. Ognisko było przecudne. Zrazu ogień rósł szybko. Powoli jednak, jakby wsłuchany w bicie naszych serc, zamierał zwolna. Wówczas z głębi naszych dusz wyrwała się melodja cicha, a przejmująca. Naokoło grobowa cisza. A nam, siedzącym w takiem skupieniu, zdawało się, że jesteśmy na naszej świętej ziemi, a Ona, jakby czując naszą miłość, przygarnia nas do Swego łona. Zwęglone gałązki z szelestem spadały na ziemię, jakby żaląc się, że muszą nas opuścić. Nie trwało to jednak długo... Suche gałązki, świeżo dołożone, zaczęły trzaskać z taką mocą, że i my bezwiednie

przeszły w weselszą melodję. Jeden garnie się do drugiego, chwytamy się za ręce i tańczymy „horrę“. Zrazu trochę melancholijnie, coraz to jednak prędzej... prędzej. Zdawało się nam, iż jesteśmy w Palestynie, a tam na powitanie naszej ojczyzny tańczymy bez znużenia. Lecz nagły gwizd strącił nas z wyżyn, ku którym dusza nasza ulatywała, do szarej rzeczywistości. Owiał nas wiatr nie ten sam co przedtem, wrogi.

Po tak pięknie przeżytym dniu, rzeczywistość wydawała się stokroć gorszą. Wracałyśmy przez te golusowe pagórki; ale dusze nasze szły tam, skąd ich oderwać niepodobna. Żywimy nadzieję, że i ten wielki cel naszego życia się ziści. Wówczas urządzimy sobie wycieczkę, ale już naprawdę w Erec Israel..

Kwuca „Tamar“, Dębica.

Mój sen.

Jestem w Erec, w kolonji Daganja, o której tak wiele słyszałem. Pracuję w polu od wschodu słońca. Dziś mamy żniwa. Panuje wielki upał, słońce palestyńskie nie skąpi nam swoich promieni, od których zboże takie złote. W południe spoczywamy w cieniu drzew, spożywamy posiłek w milczeniu, każdy pogrążony w swoich myślach. Mamy godzinę czasu. Niektórzy wyciągają się na trawie. Jest bardzo cicho dookoła.

Wtem rozlega się gwizd... Do roboty! Pracujemy do zachodu słońca. Tu słońce wspanialej zachodzi niż w golusie. Powracamy do kolonji bardzo wesoło ze śpiewem na ustach. Śpiew nasz rozlega się daleko po polach...

Tak, jest to bardzo piękny sen, po który trzeba wrócić do dawnego trybu życia. Trzeba znowu śpiewać w szkole upokarzającą piosenkę „Idzie ulicą mały Żyd“. Myślę, że prawdziwie wolnymi bylibyśmy tylko w Erec.

Jehudit K. Gorlice.

Nasze marzenia.

(Uwagi do artykułów „Mój sen“.)

Marzenia nigdy nie możemy nazwać niedościgłą mrzonką, z której tylko śmiać się wypada. Każdy wielki nowy plan, przywykliśmy uważać za marzenie. I dlatego każdy wynalazca był przyjęty z chłodem i dlatego każdy

człowiek, który stworzył nową ideę był uważany za burzyciela porządku. Ale nie mówmy o tem. Są i inne marzenia, które przy odrobinie uwagi i wytężenia umysłu możemy zmienić w rzeczywistość. Któż z nas nie marzy o tem, aby pojechać do Palestyny? Któż z nas nie marzy o tem, aby odegrać wielką rolę w życiu? Czytałem o tem parę artykułów w „Ceirim", ale żaden z autorów nie przypuszcza, aby to marzenie wybiegło poza ramy snu. A mimo to? Dlaczego mamy przypuszczać, że nie pojedziemy do Erec? Wszak to nie jest tak bardzo nieprawdopodobnem i marzenie może się ziścić. Ale każdy myślący o tem nie sądzi, że należy się do tego przygotować. Mówi się wiele, że tam w Palestynie pracowałoby się ciężko, a tymczasem nie chce się mieć musztry na polu gdy jest chłodno, bojąc się kataru, albo innej dolegliwości. Nie należy frazesów wypowiadać — a nie spełniać ich w życiu. Mówi się o ciężkiej pracy, a boi się chłodu. U nas cały hart, wszystkie piękne myśli o skautyźmie streszczają się w słowach. Słowa i słowa.

W jaki sposób będzie nasza praca owocną dla ojczyzny, gdy nie uznajemy karności. Jak nasza musztra wygląda. To nie jest musztra — to karykatura musztry. A przecież w mustrze poddajemy naszą wolę woli jednostki i dlatego musimy ją wzorowo przeprowadzić. Ale o tem się nie myśli.

Praca to nie frazes, ale rzecz ciężka, która nigdy nie może być wypełniona bez posłuchu. Praca bez kierownika, to praca chaotyczna, która nie wyda żadnego rezultatu.

Język hebrajski powinno się także kochnć i poznać. Kursa w organizacji są godziną szkolną bez żadnych odmian i dlatego nie uczy się hebrajskiego tak, jakby się można było spodziewać. A cóż powie wyjazd do Palestyny, gdy się nie umie mówić po hebrajsku. Dlatego, gdy chcemy w Erec pracować, pracujmy najpierw nad sobą. Hartujmy się, uczmy się hebrejskiego, uznajmy karność, a potem dopiero myślmy o wyjeździe. W ten sposób przygotowujmy się do wyjazdu do Erec, a nie wyobrażajmy sobie, że cudem pojedziemy. Wówczas nie przyniesie nam to szkody lecz pożytek.

Ben-Ester.

Jesień.

Jesienne słońce ostatnie ciepłe blaski posyła zamierającej w tęsknocie ziemi. W powietrzu przesyconem wonią ostatnich jesiennych więdnących liści, kołysze się melancholja. Z cichym szelestem lecą mieniące się złotem

i czerwienią liście. Coraz smutniej i coraz żałośniej na świecie. Idzie zima mrożąca resztę nadzieji, złudzeń i wiośnianych snów. Kwiaty gasnące zakwitną znowu z wiosną nową. Te drzewa bezlistne zazielenią się znowu, albowiem od wieków dane im przechodzić od rozpaczy do radosnego szału i mieć w sobie odbicie wszystkiego, co jest śmiertelne i co jest nieśmiertelne! *Michael.*

W jesienny wieczór.

Mroczno. Deszcz chlupoce pod nogami nielicznych przechodniów. Małe światła rzadkich latarń ulicznych rzucają ponure cienie na ubogie domy dzielnicy żydowskiej. Ulice prawie puste, tylko gdzieniegdzie szybkim krokiem śpieszą do jasnych, ciepłych domów ludzie, chcąc jaknajprędzej schronić się przed jesiennym wiatrem i deszczem.

Jeden tylko człowiek stoi, nie bacząc na deszcz i zimno. Jest to starszy Żyd, sprzedający skarpetki po ulicach. „Kupujcie panowie skarpetki" — wydobywa się głos z jego ochrypłego gardła, a jego wołaniom odpowiadają tylko jednostajnie spadające krople deszczu. „Mocne skarpetki! kupujcie, kupujcie!" Przechodnie ani zważają na tą nędzę, bo cóż ich obchodzić może obdarty, przemokły Żyd. Oni spieszą do domów, gdzie powita ich radość i wesele, a on — on musi tak wołać, bo to chleb dla niego i jego bliskich. Deszcz jeszcze silniej pada, a zimne powietrze jesienne daje mu się porządnie we znaki. Lecz on stoi wytrwale; tylko woda w rynnie, jakby litując się nad nim, szemrze: „Kupujcie skarpetki, kupujcie!" *N.*

Dlaczego?!

Codziennie stykam się z nie-Żydami. Pogardzają mną. Dlaczego? — Cóż im zrobiłem? — Jestem Żydem. Dają mi to poznać na każdym kroku. Ale czy ja sam wiem, kto jest ten wzgardzony Żyd?... Pragnę go poznać, pragnę poznać jego dzieje.

Wiem, że Żydzi mieli niegdyś swój własny kraj i że byli bardzo potężni...

Słyszałem na pogadance o Józefie Trumpeldorze, o tym wielkim bohaterze żydowskim, który zginął dla swojego narodu... Naród żydowski miał zapewne wiele takich bohaterów, którzy, jak Trumpeldor, życie swe złożyli w ofierze swemu narodowi... A naród ten rozprószony po całym świecie, wzgardzony przez wszystkich, zdołał się utrzymać dotychczas zawsze z myślą o powrocie do starej ojczyzny... Pragnę być godnym synem tego bohaterskiego narodu.

Moszeh B. Gorlice.

Mordechaj Zew Feierberg.

M. Z. Feierberg urodził się w r. 1874 w miasteczku Nowogródku Wołyńskim. Ojciec jego, chasyd, był biednym „szochetem“. Wkrótce przenoszą się rodzice Feierberga do pobliskiej wsi. Tu, na łonie przyrody, przepędza przyszły pisarz młode lata. Życie na wsi pozostawia głębokie piętno w jego duszy. Wspaniałe lasy wołyńskie szepcą mu głębokie legendy i tajemnice, gorące uczucia i ukryte żądze. Pokochał on i głęboko przywiązał się do przyrody, dlatego też, gdy w późniejszem życiu został od niej oderwany, tęsknił za nią i pragnął powrócić na jej łono.

Gdy ukończył 11 lat, powrócił z rodzicami do miasteczka, gdzie zostaje oddany do „chederu“. Młody Feierberg niechętnie przebywał w ciasnej izbie chederowej i wskutek tego często wchodził w styczność z rózgą „rebego“. Opis systemu nauki w chederze znajdujemy w jego noweli „בערב“. Nie czynił również nadzwyczajnych postępów w nauce, a przełożeni nie rokowali mu wielkiej przyszłości. Jako młodzieniec o nadzwyczaj bujnej fantazji nie znajdował zadowolenia w suchej i bezcelowej „pilpulistyce“ talmudycznej, natomiast z nienasyconą chciwością pochłaniał legendy i opowiadania o nieboszczykach, złych duchach, o aniołach i cherubinach, które podnieciły i rozpłomieniły jego bogatą fantazję i odkryły przed nim świat pełen tajemniczości, spowity w mgłę legend. Z powodu smutnego usposobienia i bogatej fantazji nie zbliżał się do rówieśników i nie przyjaźnił się z nimi. Żył samotnie i marzył.

Mając lat 15 poczyna Feierberg sam się uczyć w Bet-hamidraszu. Poświęca się nauce Tnachu, czytaniu Agadot, studjum Kabali i poznaniu chasydyzmu. Wtedy również wpadają mu w ręce książki „haskali“, które zmuszają go do zastanowienia się nad rozmaitemi kwestjami. Staje przed nim cały szereg pytań bez odpowiedzi, które wywołują rozterkę i walkę wewnętrzną między starym światem tradycji i głębokiej religijności, a światem nowych prądów europejskich. Rozpoczyna się okres szukania dróg, zobrazowany w jego świetnej powieści „לאן“. Wkrótce dowiedziano się o „odstępczych“ poglądach młodego „bachura“ i zaczęto go prześladować. W domu powstali przeciw niemu ojciec i matka, wyklinając go i nie pozwalając przebywać w domu. Wkońcu ojciec, chcąc wybić synowi z głowy

owe „głupstwa“, postanowił go ożenić, co rzeczywiście uczynił.

Feierberg udaje się do Warszawy, celem wyleczenia się z gruźlicy. Tam poznaje Sokołowa, redaktora „Hacefiry“, który odkrywa w nim wielki talent pisarski. Odtąd poświęca się Feierberg pracy literackiej. Prace swe drukuje już to w „Hacefirze“, już to w „Hasziloachu“. Wówczas również poznaje wiele obcych języków i ich literaturę. W Warszawie powstaje najwybitniejsza jego powieść „לאן". W książce tej maluje mistrzowski obraz współczesnej epoki i rewolucji dokonanej w duszy młodego pokolenia żydowskiego.

Wiek XIX jest wiekiem przełomu w literaturze hebrajskiej, jest okresem błądzenia i szukania dróg przez inteligenta żyd. Chciał on iść drogą środkową, między dotychczasowem, pełnem religijności i tradycji życiem, a nowym, tak pociągającym zdala, światem kultury europejskiej. Ciężkie były walki maskilów w tej epoce. Rozumiano bowiem, że nadszedł okres przejściowy od ciasnego i ciemnego życia „ghetta“ do nowego, pięknego i szerokiego świata, a to nastąpić miało przez zniszczenie przeszłości i teraźniejszości. Haskala swojemi ideami i poglądami strząsała z duszy młodzieńca żydowskiego proch i pleśń średniowiecza, tchnęła w niego ducha buntu, zbudziła siłę do walki o nowe poglądy, o wolny rozwój narodu i ludzkości. Młodzieniec żydowski nie chciał znosić cierpień pokoleń, nie chciał bytować wśród starych form i przesądów, lecz tęsknił za szczęściem i blaskiem nowego życia. Dlatego też często porzucał religję żydowską dla nowych idei.

Tak było z początku. Potem jednak przekonano się, że ta z daleka błyszcząca i wabiąca cywilizacja europejska wcale szczerem złotem nie jest, że przez przyjęcie oświaty i ogłady europejskiej wcale nie jesteśmy uważani za równych w rodzinie narodów. Z drugiej strony, po głębszem zbadaniu zauważono, że ta stara kultura żydowska znowu nie tak zupełnie bezwartościową jest, że zawiera w sobie wiele, bardzo wiele pierwiastków wzniosłych i pięknych. Nie umiano niestety znaleźć jeszcze syntezy, pogodzenia tych dwu światów z sobą. Ztąd rozterka wewnętrzna, zmaganie się z sobą „קרע שבלב". Z jednej strony dusza wyrywała się całą siłą ku nowym ideałom i dążeniom, a z drugiej strony tkwiła tak głęboko w starej tradycji narodowej, że nie mogła bez tragicznego cierpienia zapomnieć o niej. Stał więc inteligent żydowski bezradnie na rozdrożu

i pytał przerywanym przez ból głosem: „Dokąd?“ Odpowiedź na to pytanie dał dopiero sjonizm.

Feierberg był pierwszym, który dał artystyczny wyraz tym walkom i poszukiwaniu dróg w powieści „לאן“ i noweli „צללים“.

Tuż przed śmiercią postanowił Feierberg napisać dłuższe dzieło o Baal-Szemie, twórcy chasydyzmu Nie danem mu było jednak zrealizować tego zamiaru, gdyż wkrótce, mając zaledwie 25 lat umarł, z niepowetowaną szkodą dla literatury hebrajskiej.

Perec N.

M. Z. FEIERBERG.

Cienie.

(tłum. z hebr.)

...A w całym wielkim, szerokim świecie, pełnym rozkoszy wspaniałych, nie ukochałem niczego, prócz cieni.

Wielu jest, którzy lubią światło i dzień jasny, a ja ukochałem tylko noc ciemną i cień.

Noc ciemna i cień mroczny, czyż znasz coś przyjemniejszego nad to?

A okrutne słońce wdziera się do mych oczu, światło woła mnie całą swą mocą, bym zajrzał w świat ten przeklęty, nikły i marny; delikatne, lekkomyślne serce budzi się na moment, zoczywszy obraz przemijający, lub niską żądzę i pragnie wejść w obcy świat; piekło rozwarte pod niem, a ono wpada weń głęboko, głęboko i ciągnie za sobą całe ciało, ruchy moje i uczucia, a ja nie mogę oderwać dzikiego serca od pożądania kuszących promieni słońca — zwracam przynajmniej myśl na chwilę ku cieniom.

— — — — — — — — — — — — — —

Noc.

Siedzę w starym, chylącym się do upadku, Bejt-hamidraszu, słońce odeszło do swej siedziby, na dworze jęczy wicher burzliwy, brzęczy odłamkami szyb i igra płomykiem łojowej świeczki, przy której blasku siedzę nad otwartą gemarą i uczę się.

Świeczka moja płonie, sycząc i pryskając kroplami łoju na kartki gemary, rozsiewa niepewne światło na pokój i napełnia go mrocznymi cieniami; światełko drżąc oświetla zaledwie 4 metry naokoło, a w czterech rogach domu

ciemno i pusto; cienie poruszają się, cień pada na cień i rozciąga się na innym cieniu. Oto cały dom porusza się, ściany kłaniają się, cienie pozdrawiają je przyjaźnie i całują nawzajem... Oto one rozmawiają, oto szepcą, a ja nie rozumiem ani słowa... One szeptają w ciszy, a ja nie słyszę...

Bawię się niemi, pochłaniam je w głąb duszy. Pragnę, by rozprzestrzeniły się i zalały cały świat słodkim strachem i rozkosznym lękiem — jako i mnie.

Gemara otwarta przedemną, czytam smętnym głosem i melodją, od której serce drży, a cienie nadsłuchują i tańczą w takt melodji, także serce skacze w piersiach, niby wybijając takt; melodja wdziera się doń i rozsiada się w niem wbrew mej woli.

A ja, Chofni, nie rozumiem mych uczuć, nie wiem, co się z mą duszą dzieje... Nagle zdaję sobie sprawę, że to cienie ciągną mnie do siebie, one sprowadziły mnie o północy do Bet-hamidraszu... One tchnęły ducha smutku i goryczy w Talmud i wywołały tą smętną, głuchą melodję, one, tylko one...

Ale czem są te cienie? Cóż mi do nich?

Ojciec opowiadał mi, że lubił niezmiernie w młodości przesiadywać nocą w Bet-hamidraszu nad Talmudem i to było jego jedyną rozkoszą w życiu pełnem trosk. Pamiętam, gdy mówił o wspomnieniach z dni młodości, napełniały się oczy jego łzami, łzami tęsknoty i żalu za nocami spędzonemi w Bet-hamidraszu nad księgami świętemi. Opowiadał, jako czuł wówczas w duszy, że spoczywa na nim duch boski i ogień święty spływa w jego serce z niebios i zapala w nim żar miłości do owej smętnej melodji, do nocy mrocznej i cieniów. Kto wie! Może to jest ta noc, i te cienie które i ja pokochałem?

* *
*

Świat cały śpi — a ja czuwam.

Wiem, że oni nie zazdoszczą mi takiego szczęścia. Leniwi, którzy leżą rozciągnięci na swych łożach, sądzą, że to oni szczęśliwymi są; małoduszni, cieszący się z kawałka chleba, zdobytego z narażeniem życia, jak z jakiego majątku — umieją tylko pracować i trudzić się dla jadła i snu, a spać i jeść dla pracy i trudu; poszukiwacze rozkoszy, nieszczęśnicy, grzęznący w bagnie rozpusty — po-

kiwają nade mną litośnie głowami. Także we mnie budzi się czasami dziwna chętka: Chofni, głupcze, co ci z tego wszystkiego? Czemu odpędzasz sen z twych oczu, a rozkosz od ciała twego? A mimo to wiem, żem szczęśliwy jest, najszczęśliwszy! Nieszczęsnym stanę się, gdy usnę, jak inni, gdy uganiał się będę za marnościami, jak inni... Gdy wzejdzie dzień i umkną cienie.

Wiem, że świat patrzy na mój stary, chylący się do upadku Bet-hamidrasz, jak na każdą inną starą i opuszczoną ruinę, ale ja, jakże serce me cierpi!...

A ja widzę mój Bet-hamidrasz zbudowany w centrum świata, a z niego promienie światła płyną w wszechświat.

A księgi w pełnych szafach takie święte... Czasem nie widzę zupełnie owych ksiąg, tylko tłum ludzi, a ludzie ci jacy wysocy i wyniośli, jakże promienieje ich twarz! Ludzie ci wychodzą z wnętrza szaf i znikają wśród cieni... A cienie te tak czarne... Z pod stóp tych mężów płyną potoki, strumienie krwi... Płacz i zawodzenie wznosi się pod niebiosa... Przed nimi strumienie łez i krwi i za nimi łzy i krew... A także przedemną i za mną...

Łzy i krew! A w krwi, wśród ciał złamanych i stratowanych wiszą dusze tak święte i wzniosłe!... Łzy i krew!.. Tu nie jestem samotny, tu wielu jest nieszczęśliwych, równych mnie...

Tu będę żył i tu umrę; tu będę cierpiał, jak cierpiał ten tłum dusz, wyszłych z wnętrza starych szaf, tu będę żywił nadzieję, jak ją żywili ci nieszczęśni.

Mimo bolu i smutku, budzi się w mem sercu duma i moc, bo widzę, że te tysiące żyją! Żyją bardziej niż ci, którzy dla siebie pałace budowali! Żyją wśród zgniłych szaf: między zużytymi i spleśniałymi arkuszami

* *
*

Oto ktoś puka do drzwi, z pewnością reb Szlomoh· Czuwa on przez trzy noce każdego tygodnia nad Torą. Reb Szlomoh jest jasnem i pogodnem zjawiskiem w tem świecie cieni. Ma już przeszło 60 lat, ciało jego pochylone, głowa zwisa na piersi, czoło poorane bruzdami licznych zmarszczek, a oczy głębokie i wielkie, błyszczą pomiędzy gęstemi brwiami.

Rabi Szlomoh uczy się Tory stojąc; powiada, że nie

znajduje przyjemności, gdy uczy się siedząc; Tora — powiada — wymaga wyrzeczenia się cielesności. Zapomnieć muszę nietylko, że głodny i zmęczony jestem, ale że wogóle istnieje głód i zmęczenie; winienem zapomnieć, że istnieje świat inny i inne życie poza tym światem i życiem, zapomnieć muszę, że istnieje początek i koniec mego studjum.

I rabi Szlomoh zapomina rzeczywiście o tem wszystkiem. Tak, on zapomina! Biorę za świadków czarne ściany Bet-hamidraszu, które widzą tego staruszka zgiętego i pochylonego nad Gemarą w czasie długich nocy Tewetu.

Zaprawdę szczęśliwym jesteś rabi Szlomoh!

A ja nieszczęśliwy jestem, ciasno mi tu, oddech tu ciężki, a cienie tak liczne... Życie pełza powoli, a dusza błądzi między starymi grobami i marnymi cieniami, ale uciec od nich nie mogę... Nie można wyjść... Nie mogę opuścić kochanych cieni... Świat ten jest drogim dla mnie, wiem, że prócz pustego pokoju mamy jeszcze różne wielkie skarby, ale skarby te zamknięte są, oko ludzkie nie opromieniło ich... A ja poszukuję kluczy do skarbca.

* * *

Przyglądam się zdala szerokiemu, wielkiemu światu, wszystko tam tak pięknie urządzone i uporządkowane. Jasne światło rozsiane wokół, inni ludzie, inne życie, życie pełne piękna i rozkoszy. Niema plamy, ani cienia, wszystko błyszczy i jaśnieje. Tam morze życia uderza wzburzonemi falami o hałaśliwy brzeg, każda dusza cieszy się i raduje.

Och życie, życie! Także ja lubię życie... Lecz przyglądnąwszy mu się bliżej, widzę, żem błądził. Ludzie owi podobni są raczej szarańczy. Jakże podli! Gdzież ich uczucia? Łza jednego nędzarza zawiera w sobie więcej ruchu i życia, niż wszystkie wasze puste marzenia i zabawy; błysk jednej myśli reb Szlomoh rozsiewa w mej mrocznej i udręczonej duszy więcej światła, niż tysiące waszych świeczników i blask zgniłego światła, które zapaliliście w waszych salonach... On, rabi Szlomoh, słaby i sędziwy staruszek, którym wy pogardzacie, umie się wznieść nad swój niski świat, pełen zgryzot i nędzy do świata wzniosłego, pełnego świętości i szlachectwa; jego płacz jest bezdenną przepaścią, jego nadzieją — wyżyny nieba, jego wolą — świat

cały, a wy? Wy karłami jesteście, żyjącymi w świecie ciasnym i niskim, pośród żądz niskich i podłych dążeń...

* *
*

I znowu znajduję się między cieniami, mrok mnie pochłonął... Dusza ma szuka przejścia do światła szerszego, większego... Kocham cienie, ale więcej jeszcze ukochałem słońce... Ale słońce, które wszystkich i wszystko ozłaca... Słońce, którego blasku zaćmić nie potrafią nawet wysokie i grube mury... Słońce sprawiedliwości, które wzejdzie nad wielkim i małym, nad każdym... Wtedy dopiero opuszczę Bet-hamidrasz, ucieknę przed cieniami...

Ale teraz dokąd ucieknę? Dokąd pójdę? Do „nich“? Do tych, którzy nie zlitowali się nad nędzarzem?

Nie, nie chcę być obrabowanym, ale tem goręcej nie chcę być rabusiem.

Z naszego pamiętnika.

Zbliżał się powoli wieczór. Promienie zachodzącego słońca z trudem przedzierały się przez okno naszego lokalu, a złota tarcza słała uśmiech pożegnalny, ustępując miejsca zmrokowi. W lokalu panowała cisza, ludzie byli gdzieś daleko za miastem, na wolnem powietrzu. Zebrałyśmy się poraz pierwszy na pogadankę z rosz-kwucą. Usiadłyśmy w kąciku i czekamy z bijącem sercem, aż przyjdzie „ona“... Po kilku minutach, które dla nas były godzinami, przyszła, usiadła między nami wesoła, uśmiechnięta, tak, jakby już dawno nas znała.

Pierwszem, co nas do siebie zbliżyło, była pieśń. Siedziałyśmy razem, nucąc pieśni. Słów nam jeszcze brakło. Jakaś dziwna tęsknota i pragnienia poczęły się budzić w naszych sercach. Jakby na dany znak umilkłyśmy, bośmy odczuły, że „ona“ chce z nami mówić.

Zaczęła nas wypytywać, jak się nazywamy i zaproponowała, abyśmy się nazwały po imieniu. Na siebie kazała wołać Szoszana, bo ona lubi, by ją nazywano w języku naszym świętym. Na tej pierwszej pogadance mówiła dużo o przyjaźni, jak powinniśmy żyć z sobą, kochać się serdecznie, a przedewszystkiem być szczeremi. Jak można bowiem

— powiada — być młodym a nie kochać wszystkiego, co piękne i dobre. Słowa jej oszołomiły nas, niektóre nie zrozumiałyśmy, lecz jedna myśl owładnęła nami: by iść za nią tam, dokąd nas zaprowadzić zechce.

Mijał miesiąc po miesiącu, coraz więcej zbliżałyśmy się do siebie, a w miarę tego, coraz goręcej kochałyśmy się. Dziś mija rok od czasu, gdy poraz pierwszy zeszłyśmy się. Przed oczyma naszemi przesuwają się różne obrazy z życia naszego w organizacji. Rok ten pierwszy dał nam silne fundamenta, na których opierać się będziemy w przyszłości. Zaznajomiłyśmy się poniekąd z historją naszych przodków, nauczyłyśmy się kochać to, co żydowskie, uczymy się języka hebrajskiego i jakże się cieszymy, że nasza rosz-kwuca obiecała prowadzić z nami czytanki w tym języku. W dniu rocznicy postanowiłyśmy zabrać się do intenzywniejszej pracy i kroczyć po drodze wskazanej przez rosz-kwucę. Mamy nadzieję, że wkrótce będziemy wzorem kwucy i osiągniemy cel, do którego dąży rosz-kwuca i cała nasza organizacja.

Kwuca „Tikwa“ Dębica.

Kolonja.

Raźno marszeruje gdud przez elektrycznem światłem zalane ulice miasta. Raźno i radośnie wtłacza się do pociągu. Na ustach wesoły śpiew, w sercach wesele, a w mózgu setki, tysiące planów. Jakże piękne będzie życie na kolonji. Swobodne, wesołe, beztroskie. Wszyscy będą żyć w zgodzie, w miłości i przyjaźni. Cały dzień — zabawą, cały tydzień — sabatem, cały miesiąc — jednem wielkiem świętem...

Pierwszy raz jadą na kolonję..

* * *

Przez wagony z ust do ust biegnie grożna wieść. Na kolonji będzie komuna. Wszystko trzeba będzie oddać. Pieniądze, gwizdki, nawet ciastka. Przynajmniej te ostatnie trzeba uchronić przed zachłanną komuną. Zjedzmy wszystkie, ile wlezie! Na kolonji jest przecież apteczka.

Nic to. Pieśń wesoła pędzi w dal, ku Tatrom. Pierś chłonie chciwie słodki dech ciężarnych pól...

* * *

W Bańskiej pierwsze zgrzyty... „Co? Ja sama, której nigdy w domu schylić się nie dano, będę mojemi delikatnemi rączkami sienniki napychała?!"

Drugi zgrzyt. Pieniądze, marki kazali do komuny oddać. Że to niby wzzyscy równi jesteśmy. Niema bogatych i biednych. „A co się stanie, gdy jedzenie raz nie będzie mi smakowało, a co wtedy, gdy do Zakopanego zechcę iść, a co, gdy na „Kanolda" ślinka mi przyjdzie?" Kilku „przezorniejszych" schowało pieniądze mamusi na „czarną godzinę".

I było tych przykrych zgrzytów więcej. Nie zawsze chciało się na ćwiczenia skautowe iść Często więcej o przypalonej jajecznicy myślano, niż o ładnej pogadance. Wielu patrząc na małą porcję kaszy, zapominało o swoich górnych i chmurnych marzeniach. Niektórzy zaczęli tęsknić za miękkim materacem i bułką z masłem.

Były zgrzyty, były. Wstyd je teraz wspominać. A dlaczego były? Bośmy zapomnieli, że w tygodniu jest sześć dni powszednich, a tylko jeden sabat, że w roku jest 300 dni roboczych, a tylko niewiele świątecznych. Nie pamiętaliśmy, że im więcej trudu zużyjemy w tych sześciu dniach, im lepiej przygotujemy własną pracą צרכי שבת, tem uroczystszą i piękniejszą będzie sobota.

Wielu nie chciało zrozumieć, że punktualne wstawanie przedłuża dzień o godzinę, że gimnastyka i ćwiczenia rozwijają ciało i rzeźkość w krew wlewają, że nie dla gnuśnego wygrzewania się na słońcu przyjechali. Kilku nie widziało uroku kolonji poza ryżem z cynamonem i cukierkami „gazdy".

Były zgrzyty, były. Ale utonęły na szczęście w morzu podniosłych chwil.

* * *

Las. Cisza. Stoisz na „czujce". Bronisz obozu. Wtem... wróg się skrada. Czaisz się. Zdaje ci się, że zegar czasu został przesunięty o sto lat wstecz i ty razem z Cooperem polujesz w dzikich puszczach amerykańskich na skalp wroga. Rozkosznie pręży się twe ciało napięte oczekiwaniem. Z radością chłoniesz balzamiczną woń lasu. Swobodny i silny się czujesz. „Błogosławiony, który mnie wywiódł z ciasnych, skurzonych ulic miasta i uwolnił mnie od gorącego oddechu kamienic". Jakże rozkosznym jest cień lasu, zieleń pól i lazur nieba.

* * *

Wieczór przy ognisku. Rocznica Herzla. Siedzimy wokół ogniska, parskającego ognistym śmiechem. Otulony mrokiem lasu, okrwawiony czerwienią ognia, śpiewa chór. Pieśń dolatuje stłumiona, smętna, zaczarowana.

Ktoś opowiada cudną legendę herzlowską, wyczarowuje przed nami bohaterską postać Wodza, który rozżarzył iskrę świadomości narodowej w wielkie ognisko, którego blaskiem wszyscy oczarowani jesteśmy. Słowa przechodzą w pieśń i płyną szeroko po polach i lasach, przynosząc radosną wieść, że tu, przy ognisku nowe pokolenie bojowników Sjonu wzrasta.

* * *

Obóz skautowy w cichej dolinie, zamkniętej niebotycznemi Tatrami. Własnoręcznie postawiony namiot, własnoręcznie zbudowany szałas. Noc pod gołem niebem przy ognisku. Ktoś czyta o „Złotym śmiechu", który tylko w lasach mieszka, dobroć i miłość w serca ludzi leśnych wlewa i troskę i zło od nich odpędza.

Krótki sen pod gwiaździstem niebem, czujnie strzeżony przez straż z kijami i latarką. Pobudka i — hajda na górę przywitać wschodzące słońce. A potem, jakże wspaniały, śpiewający powrót do domu. Nic to, żeśmy trochę w nocy pod domem błądzili, nic to, żeśmy się trochę duchów bali, tem głębsze i potężniejsze wrażenie zostało.

* * *

Były zgrzyty, były. Ale życie tysiąckroć piękniejsze i lepsze było, niż w mieście. Młodzieńcze życie, pełne młodzieńczego wesela i czaru. *Dow.*

Od administracji.

Mimo olbrzymich trudności finansowych, wydaliśmy 3-ci numer naszej gazetki w zwiększonej objętości. Wszyscy zapewne uznajecie jej doniosłe znaczenie dla naszego najmłodszego gdudu. Starajcie się więc przez jaknajszersze rozpowszechnienie (także poza gniazdami) o jej rozkwit i regularne pojawianie się. Pieniądze, uzyskane ze sprzedaży, prześlijcie natychmiast czekiem P. K. O., z dopiskiem „dla Ceirim".

Drukarnia Pospieszna pod zarządem A. Lehrhafta, Plac Dominikański 1